



## EDWARD KOŁODZIEJCZYK

Aleksandrów, 29 kwietnia 1948 r. Sędzia K. Wilewski w obecności stron przesłuchiwał niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań świadek zeznał, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Edward Kołodziejczyk
Wiek	45 lat
Imiona rodziców	Walenty i Maria z Cichowiczów
Miejsce zamieszkania	Ciechocinek, ul. Toruńska 1
Zajęcie	nauczyciel gimnazjum
Karalność	niekarany
Stosunek do stron	obcy

---

Do wybuchu wojny w 1939 roku mieszkałem w Warszawie przy ul. Bałuckiego 35 m. 12. W nocy z 7 na 8 września wyjechałem na rowerze w kierunku Wilna. Do Wilna przyjechałem 14 września i zamieszkałem u swoich sióstr. Do Warszawy wróciłem w końcu czerwca 1943 roku przez zieloną granicę i zamieszkałem z żoną przy ul. Belgijskiej 2 m. 5, gdzie przebywałem aż do wybuchu powstania warszawskiego. 1 sierpnia 1944 około godz. 16.00 wyszedłem z domu i udałem się na przystanek tramwajowy przy ul. Dworkowej. Na tym przystanku doczekałem momentu wybuchu powstania. Punktualnie o godz. 17.00 usłyszałem eksplozję i w różnych miejscach miasta strzały. Ponieważ przystanek znajdował się na rogu Dworkowej i Puławskiej, schroniłem się do zakładu fryzjerskiego, znajdującego się w kamienicy obok poczty od strony Puławskiej. Dom narożny przy Dworkowej i Puławskiej zajęty był przez żandarmerię niemiecką. Oddział ten liczył do 20 ludzi. Ponieważ kanonada wzmagająca się, wraz z innymi zszedłem do piwnic. Było nas

dokładnie 99 osób. Wiem to stąd, że był sporządzony dokładny spis dla rozdziału żywności.

4 sierpnia około godz. 8.00 czy 9.00 rano żandarmeria niemiecka kazała wszystkim wyjść z piwnic na podwórze kamienicy i pod groźbą ręcznych karabinów maszynowych ustawiono nas wszystkich w rogu podwórza (pod ścianą domu) w kształcie prostokąta, przekątną którego stanowił oddział żandarmerii z automatami gotowymi do strzału w liczbie około 12 ludzi. Wśród nich był oficer elegancko ubrany, w białych rękawiczkach, który odróżniał się swoją elegancją. Był to mężczyzna w wieku około dwudziestu kilku lat, jasny blondyn, zdaje się lekko piegowaty, bez płaszcza, w czapce oficerskiej, a nie w hełmie. Pozostali żandarmi na głowach mieli stalowe hełmy. Oficer ten był wzrostu mniej więcej 170 cm, szczupły. Obok mnie stała w tym czasie niewiasta (nazwiska nie znam, podawała się za żonę majora WP), która znała dobrze język niemiecki i mówiła mi, że pochodzi z Wiednia. Niewiasta ta tłumaczyła mi rozmowę, jaką prowadzili między sobą żandarmi. Wynikało z niej, że będziemy wszyscy rozstrzelani, lecz nie tutaj na tym podwórzu, które było asfaltowane, a w innym miejscu, ponieważ tu nie będzie można pochować zwłok. Mniej więcej po upływie 20 minut wyprowadzono nas z tego podwórza na ulicę Dworkową i od miejsca, gdzie jest zejście w dół na Dolny Mokotów, polecono nam pojedynczo, lecz szybko, schodzić w dół na wolną przestrzeń zasadzoną kartoflami. Przejście z Dworkowej na Dolny Mokotów w tym miejscu było zastawione kozłami hiszpańskimi, żandarmi rozsunęli dwa kozły tak, że przejść mogła tylko jedna osoba. W przejściu tym stał żandarm z karabinem i każdego przechodzącego uderzał kolbą karabinu w głowę. Żandarm ten, jak mi podała dozorkczyni domu narożnego ulic Dworkowej i Puławskiej, umiejący dobrze mówić po polsku, nazywał się Edward Malicki. Był to osobnik w okularach, w wieku około dwudziestu kilku lat, szczupły, szatyn, w hełmie stalowym, dość przystojny, miłej powierzchowności i o miłych rysach twarzy. Gdy przyszła kolej na mnie, przebiegłem koło niego szybko i w ten sposób uniknąłem ciosu kolbą. Ponieważ byłem jednym z ostatnich, w kilka sekund po moim przejściu usłyszałem strzały za sobą skierowane w tłum, który już przeszedł, a następnie salwy karabinów maszynowych, rzucano granaty i strzelano z różnego rodzaju broni palnej. W momencie tym zostałem zraniony w prawą nogę poniżej kolana i padłem w kartofle, udając zabitego. Kanonada ta trwała około pięciu minut, do czasu, aż wszyscy nie legli pokotem od strzałów. Wokół słyszałem jęki rannych i konających. Zaraz jak ustało strzelanie, żandarm Malicki zszedł ze swego stanowiska przy przejściu, chodził między rannymi i konającymi i dobijał ich wystrzałami z pistoletu. Dopiero gdy zaległa kompletna cisza, wrócił na swoje stanowisko.

W kartoflach tych przeleżałem, udając zabitego, do godz. 15.00, do czasu przybycia pogotowia sanitarnego Czerwonego Krzyża, które zabrało mnie na ul. Belwederską do Zakładu Paralityków. Tam nałożono mi opatrunek i dowiedziałem się, że z egzekucji tej ocalało 16 osób, z czego sześć wskutek odniesionych ran zmarło. Wśród ocalałych były również kobiety.

Dwie z nich znam: jedna to była dozorczeni domu przy zbiegu ulic Dworkowej i Puławskiej, która znała dokładnie żandarma Malickiego, druga – właścicielka sklepu materiałów piśmiennych w domu przy Puławskiej, z którego wyprowadzono nas na egzekucję. Gdzie kobiety te obecnie mieszkają, tego nie wiem.

Wśród wyprowadzonych na egzekucję 99 osób były kobiety z małymi dziećmi na rękach, starsze dzieci i mężczyźni w różnym wieku. Nazwisk ich nie znam. Nazwisk i adresów osób ocalałych z egzekucji nie znam.

Co się stało ze zwłokami zabitych, tego nie wiem. Jak się później dowiedziałem, to zostały one pochowane na miejscu egzekucji. Pozostałych żandarmów biorących udział w tej egzekucji nie znam.

Zeznałem wszystko. Odczytano mi.